

Czytelniku, ostrzegam!
Świat, którym włada moc
o nazwie Gniew, a dni pokoju
można zliczyć na palcach jednej
dłoni, może cię wciągnąć po uszy.
Na wszelki wypadek przełoż
wszystko, co pilne i daj porwać
się przygodzie!

Marcin Mortka

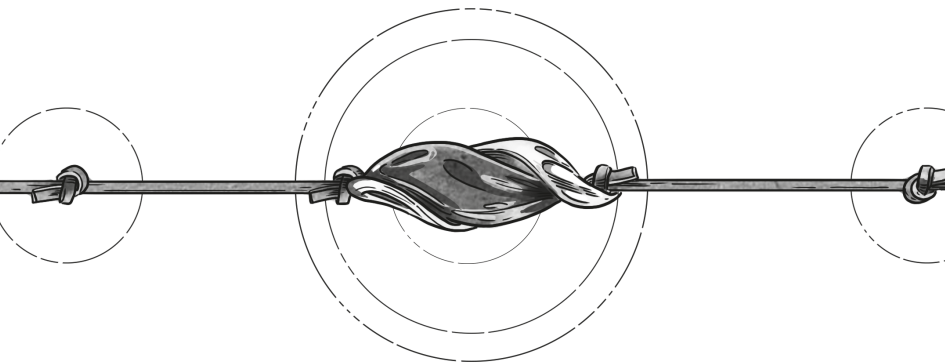
ZŁOTOKRWIŚCI

W CIENIU GNIEWU

ADRIANNA
FILIMONOWICZ

CZEŚĆ I

UCIECZKA PRZED WOLNOŚCIĄ



ROZDZIAŁ I

Skal szedł tak szybko, jak tylko schorowane, zmęczone podróżą nogi mu pozwalały. Spojrzenie podrażnionych pyłem oczu wbijał w strzeliste wieże Schronienia, górujące nad przysadzistą zabudową miasta. Gdzieś tam, u stóp otaczającego kompleksu muru, tłum już się gromadził wokół areny. Może już nawet wywoływano walczących?

Obok Skala zaterkotały koła dwukółki. Chudy pacholek ze znużeniem szturchał końcem bata osła, ciągnącego wóz wypełniony podwiędrymi warzywami. Skalowi przeszło przez myśl, by zatrzymać chłopaka i poprosić o podwózkę. Choćby kilka kroków, choćby do głównej alei. Uniósł już rękę, by do niego zamachać, ale nagle zdjął go jakiś lęk.

To już nie było jego miasto. Choć znał każdy zakręt, doskonale pamiętał kamienne, garbate budynki stłoczone wzdłuż wąskich uliczek oraz rozpoznawał sploty światła od słońca szyldy i aromaty ziół wymykające się z okien, czuł, że jest tu obcy. Patrzył na śniade twarze mijających go ludzi, na darmo poszukując w nich znajomych rysów albo tego błysku w oku, który zdradzałby, że go rozpoznano. Może nawet lepiej, że nie... Dotknął

sakwy, w której tkwił zwinięty dokument świadczący o przywróceniu go z wygnania. Sam wciąż jeszcze nie wierzył, że go ma i wolał nie musieć się z niego tłumaczyć. Westchnął ciężko, wbił wzrok w ziemię i przyspieszył kroku.

Gdy dotarł na rozciągający się u stóp Schronienia lekko nachylony plac, arenę otaczał już podekscytowany tłum. Plecy ludzi, co do jednego odzianych w beże, szarości i wszelkie możliwe kolory piasku, zlewały się Skalowi w zwartą masę. Nieliczni przynieśli sobie wiadra albo skrzynie i stawali na nich, by lepiej widzieć. Inni wspinali się na palce. Skal pokręcił głową. Nie dla niego były takie wygibasy. Wziął kilka głębokich oddechów i zanurkował w tłum. Przez chwilę brnął naprzód, rozpychając ramionami ludzi. Ignorował niezadowolone pomruki, szturchnięcia pod żebro. Niegroźne przepychanki pod areną nie były niczym niezwykłym. Kto miał siłę, stał z przodu, kto nie, musiał pogodzić się z tym, że niewiele zobaczy. Skal, wyczerpany długą podróżą, miał tylko determinację. Ale to wystarczyło. Dobrnął do rzeźbionej, kamiennej balustrady rozdzielającej motłoch od areny. Oparł się o nią ciężko i przecesał palcami zapocone włosy. Zdążył.

Złotokrwieści czekali już w cieniu niewielkiego, podłużnego budynku przyrośniętego do murów okalających Schronienie. Choć było ich dwoje, większość spojrzeń Ignęła do niewysokiej, barczystej dziewczyny, krążącej w tę i z powrotem z pochyloną głową. W ręce trzymała ciężką szablę i z wyzywającą wręcz obojętnością wodziła końcem ostrza po zawilich wzorach posadzki.

Brązowe, poprzetykane przedwczesną siwizną włosy zasłaniały jej twarz, ale Skal wierzył, że poznałby ją nawet w mroku. Zmieniła się przez te wszystkie lata, ale pozostawała przecież jego wnuczką. Zachłannie śledził jej ruchy – to przerażające wręcz znużenie, jakby dziewczyna szykowała się raczej do snu niż pojedynku. Nie przeszkadzała jej ludzka paplanina, która gęsto wypełniła powietrze i, choć nie dało się z niej wychwycić pojedynczych słów, grała w duszy podnieceniem i wyczekiwaniem. Mieszkańcy Irdin widzieli wiele rytualnych walk, ale Oblaskawiacze rzadko tak dobierali przeciwników. Skalowi – doświadczonemu fecht mistrzowi – wystarczyło jedno spojrzenie na starego Sępa, by zrozumieć, że rzucono go dziewczynie

na pożarcie. Od czasu, gdy ostatni raz się widzieli, szyja mu się wydłużyła, ręce wychudły i nabrały chorobliwego wyglądu. Nigdy nie miał talentu do broni – ale Gniew na takie drobiazgi nie patrzył – nigdy też nie miał ducha do walki. Rozbieganym spojrzeniem wodził od swojej przeciwniczki, przez publiczność, po pusty jeszcze podest, na którym stała olbrzymia waga. Miejsce obok czekało na Oblaskawiaczkę. Uczoną, zdolną przeczuwać nadchodzące manifestacje Gniewu, zgadywać jego kaprysy, a w sytuacjach takich jak ta, być jego głosem.

Zjawiała się wreszcie. Tłum ucichł. W szacie w kolorach krwawej czerwieni i złota, wyglądała jak płomień górujący nad jednolitą masą beżu i szarości. Była młoda, może dwudziestoletnia. Skal pomyślał, że pewnie jest córką jakiegoś urzędasza, ale zaraz zganił się za tę myśl. Różne ścieżki wiodły ludzi do Schronienia i drwienie z nich było niepotrzebnym igraniem z Gniewem. – Ludu Lajsał, Głusz i Awgat!

Skal skrzywił się. Nazwy tych trzech regionów, rzucone na jednym wydechu, kłuły go w uszy.

– Służący wam Oblaskawiacze dostrzegają, gdy Gniew wzbiera. Gdy zaczyna nasycać płynące przez płaskowyż wody, szumieć w liściach drzew i roztrzaskiwać górskie skały. Gdy zaczyna popychać ludzi do zbrodni. Dlatego wzywamy do walki tych, którym w żyły wlał złotą krew. Stają przed wami Siwa i Sęp!

Stary złotokrwisty wyszedł kilka kroków naprzód, pokłonił się sztywno. Siwa skinęła głową, ale wciąż nie odrywała wzroku od wzorów na posadzce. Złotokrwisci porzucali swoje prawdziwe imiona. Dla zwykłych ludzi mieli być tajemniczymi istotami, należącymi jedynie do Gniewu, a i między sobą i wobec Oblaskawiaczy zachowywali zwykle tę narzuconą tożsamość.

– Niech na arenę spłynie złota krew! Niech wypali się Gniew!

Młoda uczona miała mocny, dramatyczny głos. Skal w duchu pochwalił ją, po czym przyłgął spojrzeniem do Siwej.

Ta, wciąż nie podnosząc wzroku, posłusznie wyszła na środek. Wydawała się ospała, zniechęcona. Ktoś mógłby wziąć to za nonszalancję, ale fechtmistrz miał wrażenie, że dziewczyna jest raczej rozdrażniona. Tylko że wcale nie na przeciwnika. Na Oblaskawiaczy, Schronienie, ziemię, na której stała.

Broń mieli podobną, choć szabla w rękach Siwej chodziła tak sprawnie, że zdawała się wręcz nieważka. Sęp ruszył do przodu, dziewczyna uderzyła w przeciwtempie. Trafiała. Z płytkiej rany zaczęła się sączyć złota, przypominająca rzadką żywicę krew. W tłumie podniosło się kilka okrzyków, ale szybko zgasły. Ludzie czekali na więcej i wiedzieli, że Siwa im to da.

Zwód, prowokujący przeciwnika do ataku, wysoka zastawa i błyskawiczne prześlizgnięcie się fałszywym ostrzem ku jego głowie. Kolejne złote krople zlepily rachityczne włosy Sępa. Siwa przez chwilę jeszcze utrzymywała ten rytm starcia. Skal z przyjemnością patrzył na precyzyjną pracę jej nóg i doskonale wycucie ciała. Celne ciosy mniej go fascynowały, były oczywistym następstwem perfekcyjnej techniki. Nagle złotokrwista poszła naprzód wypadem, tnąc z zamachu rękę przeciwnika. Krew spadła na posadzkę gęstym deszczem, szabla z brzdękiem uderzyła o ziemię, a tłum, dotąd milczący, skupiony, wybuchł entuzjazmem. Podniosły się wiwaty, niektórzy już wykrzykiwali to, co miało paść z ust Oblaskawiaczki.

Ta jednak się ociągała. Dłuższą chwilę stała nieruchomo, wpatrzona z wyższością w walczących. Siwa zgarnęła z posadzki broń skulonego z bólu Sępa. Zrezygnowany, nie próbował nawet utrzymać dystansu, jakby oczekiwał na kolejne ciosy. I nagle Skal zrozumiał, dlaczego.

Oblaskawiacze chcieli krwi. Więcej krwi. W obawie, że Gniew nie zadowolony się byle czym albo dlatego, że Siwej niewiele brakło, by wykupić się z jego władzy, przyzwalali nawet na śmierć starego. Tylko że ona postanowiła to zignorować. Doświadczony Oblaskawiacz znalazłby właściwe słowa, by zmusić złotokrwistą do posłuszeństwa, jednak młoda się ugięła. Wzniosła ręce i nad głowami zebranych poniósł się mocny głos:

– Gniew się wypalił. Siwa zwyciężyła!

Wiele ust powtórzyło te słowa, na arenę zaś wkroczyli słudzy Schronienia. Dłońmi odzianymi w skórzane rękawiczki zaczęli zbierać z posadzki zastygłe krople złotej krwi. Z daleka przypominały zwożone zza wzgórz Waldah bursztyny, ale z bliska były nie do pomylenia. Zawsze bijące ciepłem, zaskakująco ciężkie, opalizujące dziwnie, jakby od czasu do czasu po ich powierzchni prześlizgiwał się odprysk pioruna. Te dary Gniewu nazywano Iskrami. Wzbudzone rękoma Alchemików, mogły uleczyć wiele chorób i ran, a nawet ukoić pokiereszowaną duszę. Dla złotokrwistych były jednak po prostu walutą, którą opłacali spokój Lajsal.

Słudzy podchodzili kolejno do wagi i sypali zebrane Iskry na jedną z szal. Oblaskawiaczka obserwowała ich z uwagą. Za chwilę mieli zacząć ustawiać odważniki, a ona musiała dobrać odpowiednie słowa. Schronienie nie zdradzało za wiele. To, ile krwi przelano w starciu i ile jeszcze brakło zwycięzcy do uzyskania wolności, ogłaszano zwykle w formie metafory. Nim jednak jakiegokolwiek słowa padły, Skal poczuł lekkie szturchnięcie w łokieć. Przy jego boku stanął beczkowaty mężczyzna z gęstą brodą i głową ogoloną na łyso.

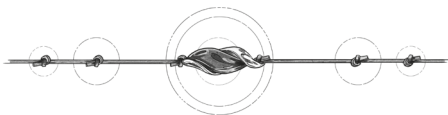
– Nieźle wyrosła, co? – zagaił, uśmiechając się szeroko.

– Haltar... – Skal z pewnym trudem wyłowił z pamięci imię nadzorcy. – Ile to ona ma teraz...? Piętnaście?

– Siedemnaście. Ale ja nie z tym przychodzę. Dostojna Izena chce cię widzieć.

Stary fehmistrz skinął głową. Posłał jeszcze ostatnie spojrzenie dziewczynie, która znów wodziła końcówką szabli po posadzce. Słońce się przesunęło, budynek już nie rzucał na nią cienia, a ona tkwiła w miejscu, jak gdyby nic do niej nie docierało. Powoli rozluźnił zaciśnięte mimowolnie palce i poruszył ścierpiętymi nogami.

– Tyle rzec mogę, że o Majsz... Tę... No... Siwą... O Siwą to się nie masz co martwić – mruknął Haltar, gdy Skal się do niego odwrócił.



Jesienne słońce wdzierало się beczelnie przez otwarte okno i resztkami sił grzało zmęczone, wciąż spięte walką mięśnie dziewczyny. Siwa oparła się o parapet i wychyliła mocno. Schronienie było potężnym kompleksem budynków – sal treningowych, warsztatów, bibliotek, wież, w których studiowano tajemnice Gniewu i tych, w których tętniło zwykłe życie. Pokój Majsz znajdował się w połowie wysokości niższej z nich, a i tak górował nad Irdin. Miasto rysowało się w dole przysadzistymi, kopulastymi budynkami. Wąskie, brukowane uliczki, gdzieś tam upstrzone cyprysami i bluszczem, tworzyły skomplikowany labirynt, w którym buzowało życie.

Majsz zmuszała się, by na nie patrzeć. Próbowwała przywyknąć do tego, co od lat wywoływało w niej dezorientację i poczucie osamotnienia. Najczęściej robiła tak po walkach lub szczególnie ciężkich treningach, gdy wszystkie zmysły wciąż miała skupione, a emocje stłumione, prawie nieistniejące. Gdy liczył się tylko cel. Kolejne trafienie, kolejna zastawa, kolejny zwód... Lub spojrzenie w twarz obcości.

Usłyszała pojedyncze puknięcie w drzwi i zgrzyt zawiasów.

– Mogę wejść. – Wirih bardziej stwierdził, niż spytał. Nie czekał zresztą na odpowiedź.

Majsz wciąż tkwiła przy oknie, nie próbowała zagajać rozmowy. Wiedziała, że on to zrobi lepiej.

– Łagodnie go potraktowałaś.

– Sępa?

– Tak.

Wzruszyła ramionami.

– Nie chciałam robić widowiska.

Wirih parsknął, a ona mimowolnie uniosła kąciki ust. Oboje wiedzieli, że palnęła głupotę. Rolą złotokrwistych było dać ludziom widowisko. Gniewowi może wystarczyła przelana w walce krew, ale mieszkańcy płaskowyżu wierzyli w skuteczność rytuału, jeśli widzieli jego rozmach.

– Utme jest wściekła. Zresztą, nie dziwię się jej. Zaraz po walce chciała gnać do Izeny na skargę.

– Niech gna, mało mnie to obchodzi.

– Słusznie. Wiele nie ugra. Poza tym, Izena podejmowała jakichś najemników, więc nic z tego nie wyszło.

– Najemników?

– Tak. Podobno przyjechali z Głusz... – Podszedł i oparł dziewczynie rękę na ramieniu. – Majsz. Już po walce. Wystarczy.

Obróciła się jak na rozkaz, spojrzała na przyjaciela i zaraz się zreflektowała. Miał rację. Jakaś część niej wciąż była na arenie, jej dłoń nadal zaciskała się na widmowej rękojeści szabli. Siwa minęła przyjaciela, usiadła na podłodze i powoli zaczęła się rozciągać. W miarę jak ciało ustępowało, wracał nieporządek codziennych myśli, widzenie się poszerzało, a uszy łapały zgiełk, pokrzykiwania ptaków i odgłosy prac nieustannie toczących się w Schro-

nieniu.

Wirih stanął przy oknie, plecami do słońca. W aureoli pomarańczowych promieni jego sylwetka zdawała się jeszcze dłuższa i smuklejsza niż zazwyczaj. O ile to było w ogóle możliwe. Wysoki i chudy, miał w ruchach szczególną grację, która czyniła go wręcz efemerycznym. Majsz, obserwując, jak zbiegał po schodach albo przemierzał w tę i z powrotem wysoko zawieszane tarasy, miała wrażenie, że niechący uniesie się w powietrze. Że porwie go wiatr. Nie dziwiła się, że w Schronieniu przezwano go Ptaszyną. Westchnął, odrzucił na plecy gruby, sięgający za łopatki warkocz i odchylił głowę.

– To powiesz?

– Co?

– Dlaczego nie chciałaś widowiska?

– Żal mi Sępa. Po co go jeszcze dodatkowo upokarzać? On ma dość.

– Majsz! – Wirih odepchnął się gwałtownie od parapetu i rozłożył ręce w geście bezradności. – Będziesz mi tak kłamać?! Przecież wiesz, że nie umiesz.

– Naprawdę mi go żal – wymamrotała, pochylona nad wyprostowanymi w siadzie nogami.

– Tak, wiem, ale nie to było powodem, a o niego pytam. Przecież zrobiłaś to znowu. Tego, który przyjechał ze Schronienia w Odemie również mogłaś ostrzej potraktować.

– Wiedziałam, że go pokonam. Nie chciałam tyle krwi.

Tym razem milczał dłuższą chwilę, nie poganiał. Wyczekał.

– Czuję, że jestem już blisko – podjęła, prostując się. – Jestem tu tyle lat, tyle razy ważono Iskry zebrane w pojedynkach, które zwyciężyłam... Wirih, ja się boję, że niedługo mnie wypuszczą, rozumiesz?

– Boisz się?!

– Tak. Obłaskawiacze kilka razy rozmawiali ze mną na osobności o czymś, co nazywają moją drogą. Tas zaczął się inaczej zachowywać. Szykują mnie na coś. Chcą, żebym wyszła ze Schronienia.

– No oczywiście, że tak! I ty się tego boisz? Ty? Ja się mogę bać, jak będzie bez ciebie, ale ty?

– Ale gdzie ja pójdę? Jak tam w ogóle miałabym żyć?

– Gdzie pójdziesz? Przecież to oni zdecydują. Zostaniesz doradcą wojskowym w Oktawie albo fehmistrzynią, albo dostojniczką Schronienia. Poza tym... Poza tym masz tu jakiś dom chyba? Siostrę, mówiłaś kiedyś.

– Ja jej nie znam! Ledwo ją pamiętam.

– Jakie to ma znaczenie? Ona musi cię przyjąć. Takie jest prawo.

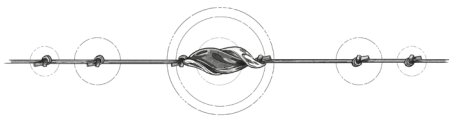
– Ale ja jej nie znam! I tego domu. I tych ludzi tam na dole. Niczego!

– I to powód, żeby sabotować szanse, za które inni daliby się pokroić?! Zaczęli krzyczeć jedno przez drugie. Majsz próbowała się tłumaczyć z tego, czego sama nie rozumiała, Wirih miotał się po pokoju, przykładając do jej słów własną miarę.

– Ja nie mam tu nikogo, a choćby mnie teraz przez okno wyrzucili, to bym żył lepiej niż w Schronieniu!

– No to skacz, okno akurat wychodzi na ulicę! – wrzasnęła i zaraz się poderwała na nogi, bo był tak wzburzony, że jeszcze gotów usłuchać. Zamarli oboje. Nad Irдин rozkrzyczały się dzwony, jakby rzeczywistość w tej chwili nie mogła znieść ciszy.

– Wirih, ja po prostu nigdy tam nie żyłam. Ilekroć jestem w mieście, to... To dla mnie nie są inni ludzie, tylko jakieś obce byty. Słowa, które w głowie zdawały się stapiać z emocjami, puszczane w powietrze straciły nagle swoją siłę. Siwa widziała na bladej twarzy przyjaciela więcej niż niezrozumienie. Niezgodę, wręcz pogardę. Otworzyła usta do kolejnego beznadziejnego tłumaczenia, ale wtedy mury Schronienia zaдрżały od dźwięku gongów. Zwoływano złotokrwistych.



Jesienny zachód słońca nad płaskowyżem zdawał się trwać w nieskończoność. Czerwono-pomarańczowa kula toczyła się nisko nad horyzontem, kładąc długie cienie w alejach, zaglądając pod altany i daszki z kolorowego płótna, rozwijane na tyłach karczm i warsztatów. Zdawała się przypominać, że to ostatnie dni, by ją podziwiać. Lada moment krótka jesień miała ustąpić miejsca gwałtownej, długiej zimie ze swoim stalowym niebem, nie-

kończącymi się śniegami i mrozem.

Stojąca przed progiem warsztatu wikliniarskiego Nore z pewną niechęcią obserwowała zbliżający się tłum. Czuła ulgę na myśl, że już niedługo zima zamknie ludzi w domach i położy kres podobnym widowiskom. Nie miała w zwyczaju oglądać rytualnych walk, czym wzbudzała podszytą oburzeniem ciekawość. Od wezwań na ulice nie mogła jednak uciec. Gdy powietrze wypełniała muzyka dzwonów, należało wyjść i podziwiać dostojników, Oblaskawiaczy i złotokrwistych.

– Odlóże to, dziecko. Przecież to brak szacunku! – Stara Hedit wyłoniła się z głębi warsztatu i wyrwała pracownicy robotę z rąk. – Kogo wiozą? – Wyciągnęła pomarszczoną szyję i zmrużyła oczy.

Warsztat znajdował się przy ulicy stanowiącej oś miasta, kobiety mogły więc obserwować ważniejsze wydarzenia ledwo wystawiając nogi za próg. Hedit się w tym lubowała. Kochała wskazywać palcami ustrojonych bogaczy i wymieniać zamówienia, które dla nich realizowała. Była próżna, ale też doskonała w swoim fachu. Spod jej palców wychodziły najpiękniejsze wzory w całym Irdin. Nore uśmiechnęła się do niej łagodnie.

– Nie wiem, nie widzę jeszcze. Poważnie to wygląda.

– No. I nie grają. Może wojskowi? Może znów wymarsz?

– Wymarsz? Przed zimą?

– Do obrony skrajów płaskowyzu może? Kto wie, co ta hołota z Głusz...

– To z Głusz właśnie wiozą! Więźniarkę. Zbuntowaną złotokrwistą! – krzyknął młody kupiec, stojący w progu sklepu z olejami.

Ludzie, których coraz więcej schodziło się na wezwanie dzwonów, nadstawili uszu. Flasi często gościł w budynku trybunału – jego wuj był tam ekonomem – miał więc najświeższe informacje.

– Strażniczka jakiejś osady?!

– Ta, która Oblaskawiaczy z całego Południowego Pierścienia wyгнаła?!

Nore wychyliła się nieco, mimochodem wychwytyjąc latające nad głową pytania i odpowiedzi.

– Ta właśnie!

Czoło pochodu stawało się coraz wyraźniejsze. Wojownicy rozpychali mieszkańców ku skrajom ulicy, robiąc miejsce dla dwóch konnych dostojników i idących w luźnym szyku najemników przemieszanych z lokalnymi złotokrwistymi. W samym środku, równym krokiem, z absolutną obojęt-

nością wypisaną na młodej twarzy, szła kobieta.

Nore przesunęła się pod ścianę, by dać więcej miejsca Hedit. Nie mogła oderwać spojrzenia od nieznajomej. Lewa strona twarzy i szyi więźniarki poznaczona była ciemnobrązowymi plamami. Drugi policzek przesłaniała burza kasztanowych, kręconych włosów. Kobiety z Głusz nie zwykły ich ścinać, ta jednak miała z lewej strony głowy jedynie krótkie, rachityczne odrosty. Nore poczuła dziwny, gorzkawy posmak w ustach, żołądek jej się zacisnął. Z trudem odwróciła wzrok i nagle oniemiała. Herold Oktawy zaczął recytować listę przewin zbuntowanej złotokrwistej, ale do Nore przestało cokolwiek docierać.

Kordon najemników zamykał kulejący mężczyzna z rzadkimi, siwymi włosami splecionymi w warkocz. W zgarbionej sylwetce tkwiły jeszcze ślady dawnej siły. Kiedyś musiał być postawnym, sprawnym żołnierzem...

Fechmistrzem... – poprawiłaby Nore, gdyby była w stanie wydusić z siebie słowo.

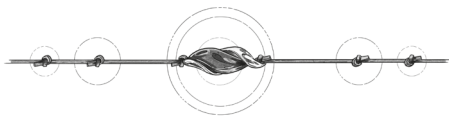
Znała tę twarz. Wprawdzie nie tak wychudłą i pomarszczoną, ale bez wątpienia tę samą.

– O nie... – wymamrotała drżącymi ustami. – Po co? Nie... Ja nie chcę...

Nie zauważyła, kiedy wykonała bezwiednie kilka kroków naprzód. Jakiś żołnierz krzyknął na nią, drugi powtórzył. Ktoś wreszcie uniósł włócznię i uderzył Nore drzewcem w żebra. Poleciała do rynsztoku jak szmaciana lalka. Szczęściem ludzie zaraz rzucili się jej pomóc. Postawili ją na nogi, kaszlącą i przyciskającą dłonie do piersi.

– Dziecino, uważaj! – Hedit ujęła ją troskliwie za ramiona. – Nic ci nie jest?

– Muszę iść do domu – wykrztusiła.



Wkraczając po zmroku w Aleję Cyprysów Skal poczuł, jak nagle karleje. To była dobra, bogata okolica. Za tworzącymi zwartą fasadę murami ogrodów stały wille kupców, urzędników i dostojników. Kulejący starzec w zniszczonych długą podróżą ubraniach i z tobołkiem przerzuc-

nym przez ramię ściągał dyskretną uwagę stróżów. Nikt nie rozpoznałby w nim tego, któremu przed trzema dekadami miasto, w uznaniu zasług, podarowało tu dom.

Willa była zwrócona ku ulicy ocienionym gankiem. Przykryta kopulastym dachem, piętrowa, nie ustępowała stylem wystawniejszym sąsiadkom, jednak już na pierwszy rzut oka widać było, że brakuje w niej życia. Większość okien ziała ciemnością, niektóre, mimo wciąż łagodnej pogody, zasłonięte były okiennicami. Skal wspiał się po kilku kamiennych stopniach. Przez chwilę się wahał. To zbliżał rękę do kołatki, to ją cofał.

– To przecież mój dom – wycedził przez zęby.

I zamiast zapukać, pchnął drzwi. Tyle że te stawily opór. Widocznie Nore nie miała stróża i bała się, że ktoś niepostrzeżenie zakradnie się do środka. Zastukał. Otworzyła szybko, bez słowa. Gestem zaprosiła go do środka.

Stanęli naprzeciw siebie, milczący, skrępowani. Skal czekał na powitanie, na choćby cień uśmiechu albo grymas smutku, ale Nore trwała nieruchomo, z zaciśniętymi zębami i pustką w spojrzeniu. Wyglądała jak posąg, nie jak żywa kobieta, w której mógłby dostrzec swoją wnuczkę. Spodziewał się podobnych emocji, jakie towarzyszyły mu, gdy patrzył na Majsz, ale zamiast przyspieszonego bicia serca czuł, że kamienieje gdzieś w środku. Nie poznawał jej, a ona nie zamierzała mu tego ułatwić. Przygryzł wargi, miał już coś powiedzieć, ale wówczas odwróciła się do niego plecami i rzuciła:

– Usiądź. Przyniosę ci coś do jedzenia.

W jednej chwili został sam, z rozmytym obrazem wnuczki pod powiekami. Miał wrażenie, że dopiero gdy złamała ten bezruch, naprawdę ją ujrzął i teraz jego umysł rozpaczliwie próbował pogodzić jej widok ze wspomnieniami. Tę dziewięcioletnią Nore, nadzwyczajnie wysoką jak na swój wiek, zawsze delikatnie uśmiechniętą i z jakimś poważnym błyskiem w oku. I tę piękną młodą kobietę, która go zaprosiła do stołu. Wrodzoną smukłość podkreślała strojem. Luźne, rozszerzające się ku dołowi spodnie sprawiały, że wydawała się jeszcze wyższa, a poobwiązywana pasami materiału koszula podkreślała wąską talię. Matka kochała jej włosy w kolorze głębokiego brązu i wbrew opiniom sąsiadów, a ku ucieście Skala, kazała córce je zapuszczać. Teraz Nore nosiła się krótko, odsłaniając twarz o delikatnych rysach. Jednocześnie tak podobna do siebie sprzed lat i tak sobie obca. Skal

poczuł, że zaczyna mu się kręcić od tego wszystkiego w głowie.

Potoczył spojrzeniem po pokoju, który niegdyś był centrum życia rodziny. Wszystko zdawało się wrośnięte w swoje miejsca. Zastałe. Miał wrażenie, że przystawione do stołu krzesła chciałyby wrócić pod ścianę, pod osłonę złożonych na skrzyni w rogu płócien. Nore starannie odkurzyła jadalnię, ale widać było, że żyjąc samotnie nie zwykła z niej korzystać.

Wróciła z deską załadowaną ziołowymi plackami i misą sosu ze śmietany i grubo krojonego sera. Intensywny zapach rozszedł się po pokoju, płosząc atmosferę pustki.

– Usiądź, proszę – ponagliła, zajmując swoje miejsce.

Jedli w gęstym milczeniu, napięci, pochmurni. Nore dwukrotnie jeszcze wychodziła do kuchni, to po zupę, to po deser. Stawiając go, rzuciła:

– Posłałam dla ciebie w pokoju przy ogrodzie. Ja śpię przy kuchni. Noce robią się chłodne, a opał jest drogi. Grzeję tylko tę połowę i tylko na dole.

Coś w jej tonie zaczęło go drażnić. Miał wrażenie, jakby rozmawiał z karczmarką, u której doprasza się noclegu, nie z własną wnuczką.

– Dziękuję, Nore. Na dziś wystarczy, ale jutro odkurzysz moją dawną sypialnię. Tyle lat spędziłem w Głuszach. Chcę wreszcie spać jak człowiek.

– Jest odkurzona, możesz spać tam nawet dziś. Dbałam o dom... przez te dwanaście lat.

Usiadła. Ich spojrzenia wreszcie się spotkały i nie było w tym spotkaniu nic ze szczęśliwego powitania po długiej rozłące. Nore była jak zranione zwierzę, które stroszy kolce na widok każdego, kto przechodzi obok. Skal wziął głęboki oddech. Był zmęczony, wciąż rozpalony walką, którą obejrzał rankiem i przejęty rozmowami w Schronieniu. Nie chciał ulec rosnącej irytacji.

– Wiem, że było ci ciężko. Zadbać o taki dom, samej... Ale wróciłem, pomogę ci.

– Dobrze.

– Jutro rano opowiesz mi...

– Jutro rano będę w warsztacie. U Hedit. Pracuję tam.

Wciągnął ze świstem powietrze.

– Więc wieczorem. Zastanowimy się, jak to wszystko na nowo zorganizować.

– Zastanowię się i ci powiem.

– Nore!

Wzdrygnęła się lekko, ale nie spuściła wzroku.

– Może ci się to nie podobać, ale nadchodzą zmiany. Wróciłem na dobre. Może... może nawet wkrótce wróci Majsz...

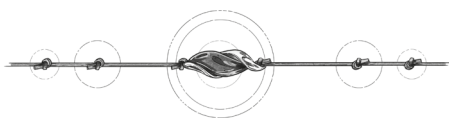
Nore zerwała się z miejsca jak oparzona.

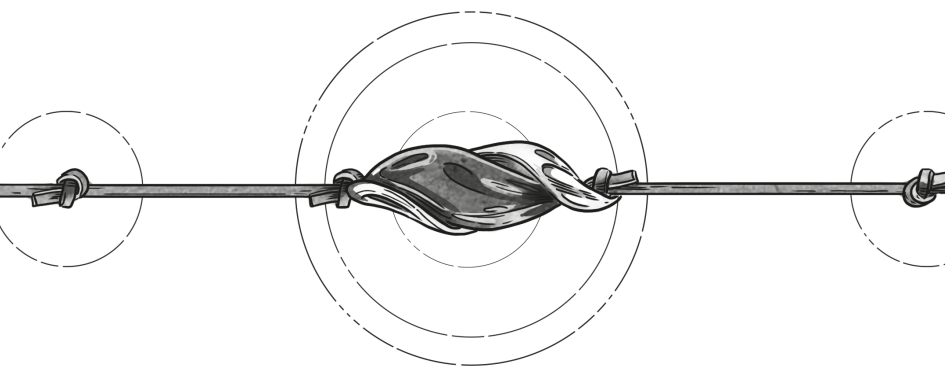
– Majsz?! I... I może ktoś jeszcze?! Ktoś jeszcze życzy sobie wejść po dwunastu latach do mojego domu, zacząć mi mówić, jak mam sprzątać i gdzie spać?!

– Dość! Ani słowa więcej! Jestem twoim dziadkiem, nie byle włóczęgą. To mój dom i będziesz mnie w nim szanować. I będziesz szanować własną siostrę, bo znisła...

– Ona?! Przez nią mnie zostawiliście. Zostawiliście mnie wszyscy, gdy miałam dziewięć lat! – wrzasnęła i chwyciła za talerze.

Był pewien, że ciśnie nimi o podłogę, ale ona zaczęła je zbierać, zostawiając jedynie niedojedzony przez niego deser. Choć drżała z gniewu, ruchy wciąż miała precyzyjne. Nie płakała, nie poczerwieniała. Była czystą, zimną nienawiścią i tym go w jakiś dziwny sposób rozbroiła. Zabrakło mu słów, jej chyba też. Ostatecznie przecież nie było o czym rozmawiać. On tu zostawał, ona nie miała dokąd pójść. Musieli nauczyć się żyć... Razem lub obok siebie.





ROZDZIAŁ 2

Wraz z pierwszymi opadami śniegu arena, leżąca u stóp Schronienia, usnęła. Oblaskawiacze organizowali rytualne walki zimą tylko w wyjątkowych sytuacjach: gdy znaki zapowiadały straszliwe manifestacje Gniewu lub gdy czyjeś występki mogły ściągnąć jego uwagę na Irdin. Rytm życia złotokrwistych zmieniał się jednak niewiele. Musieli zachować sprawność i dyscyplinę. Fechmistrzowie i nadzorcy dbali, by wybrani przez Gniew byli gotowi w każdej chwili stanąć do pojedynku. Majsz nie lubiła zdawać się tylko na nich. Niewielki plac odgradzony od głównej części kompleksu budynkiem kancelarii był ulubionym miejscem jej samotnych treningów. W jego centrum stała fontanna, której baseny wyciągały się ku skrajom dziedzińca finezyjnie giętymi ramionami. Ich nieregularność i ustawione gdzieniegdzie ławeczki sprawiały, że każdy ruch wymagał pełnej świadomości otoczenia i planu na kilka kolejnych. Gruba warstwa zmrożonego śniegu, pokrywającego kamienną posadzkę, czyniła ćwiczenia jeszcze trudniejszymi.

Miecz chodził w rękach Siwej krótkimi, ostrymi zrywami. Podcięcie, zwód,

atak na głowę. Cofnęła się, złapała oddech. Cięcie z wypadu, przejście do zastawy, kontra, zmyłka, przeciwtempo. Nieistniejący przeciwnik bronił się zaciekle, dobrze panował nad dystansem, szukał miejsc, które ograniczały swobodę ruchów złotokrwistej. Majsz poszła gwałtownie do przodu, stopa uciekła jej w bok. Chwila utraty równowagi, rozpacзлиwa zastawa, zejście nisko, zbyt wolny powrót do pozycji. Zamachnęła się szeroko, bez przekonania, markując kontratak.

„Inaczej powinnam z tego wyjść” – pomyślała, zatrzymując się.

Mimo mrozu sphywała potem, a ramiona paliły ją żywym ogniem. Zdjęła wełnianą pelerynę i cisnęła ją na zasypaną śniegiem ławkę. Znów ujęła miecz, ustawiła się przy samej fontannie, w wąskim kącie między jej dwoma zbiegającymi się ramionami. Teraz przeciwnik zagonił ją w kozi róg, miał tarczę i konsekwentnie nacierał. Musiała odwrócić sytuację. Wzięła głęboki wdech, zesza nisko na nogach.

„Czujnie. Bez pośpiechu. Małymi krokami” – upomniała się w myślach.

Była w połowie starcia, gdy spostrzegła postawnego mężczyznę, w futrze niedbale zarzuconym na ramiona, stojącego w progu kancelarii. Z pewnym niezadowoleniem skonstatowała, że śnieg zdołał mu solidnie przyprószyć czarne włosy, co oznaczało, że obserwował ją już dłuższą chwilę.

Tas był Pierwszym Fechmistrzem Schronienia. Doskonałym szermierzem i bardzo surowym nauczycielem. Sprawował pieczę nad treningiem złotokrwistych i wywiązywał się z tego zadania z pełnym zaangażowaniem. Przez wiele lat jego uwaga ją cieszyła, jednak od pewnego czasu, którego nie umiała sprecyzować, coś się zmieniło. Jego natarczywe spojrzenie ją drażniło, rozpraszało. Czuła je na ciele i odruchowo próbowała się korygować, nie rozumiejąc popełnianych błędów.

Poprawiła postawę, zmniejszając potencjalne pole trafienia. Przesunęła piętę, by dać sobie odrobinę większy margines równowagi. Poszła w głęboki wypad. Cięcie było równe, czyste. Wyprostowała się, znieruchomiła na moment.

„Mogę uznać, że zwyciężyłam” – skonstatowała w myślach i ruszyła po pelerynę, która zdążyła już niemal całkowicie zniknąć pod śniegiem. Fechmistrz wyprzedził ją, podniósł okrycie, otrzepał i zarzucił jej na plecy.
– Mistrzu?

Chciała się cofnąć i wykonać regulaminowy ukłon, ale Tas wciąż opierał rękę na jej ramieniu.

– Dobry trening – rzucił.

– Myślałam, że jesteś niezadowolony.

Spojrzała na niego kątem oka. Tas był dojrzały, ale daleko mu było jeszcze do starości. Majsz miała wrażenie, że upływ lat w jakiś dziwny sposób skrócił między nimi dystans i wbrew temu, czego by się spodziewała, sprawił, że przestała go rozumieć. Pięć lat temu potrafiła wyczytać każdą uwagę z twarzy fechtmistrza, nim ten zdołał otworzyć usta. Teraz wszystko przesłaniały błysk w ciemnych oczach i ironiczny uśmiešek, które zapewne coś znaczyły, ale nie wiedziała, co.

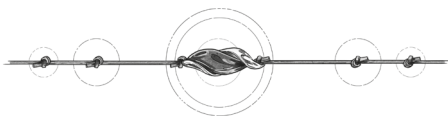
Tas zaśmiał się i pokręcił głową.

– Odnieś broń i się przebierz. Izena chce cię niezwłocznie zobaczyć.

– Gdzie?

– Prywatne komnaty.

Majsz skinęła sztywno głową i ruszyła biegiem do zbrojowni. Dopiero gdy wspinała się do swojego pokoju na wieży, dotarło do niej, co Tas powiedział. Pomyślała, że ma kłopoty – że skargi Utme wreszcie trafiły na podatny grunt – a potem ogarnął ją spokój. Jakiegokolwiek kary by nie szykowali, nie była nią przecież wolność.



Komnata Oblaskawiaczki, choć obszerna i pełna zdobień, przypominała graциarnię. Na potężnym biurku piętrzyły się stosy ksiąg, pergaminów, kałamarzy z zaschniętym tuszem, biżuterii, rękawic i pustych kielichów. Wygodny fotel zajmowała cynowa miednica. Sama Izena półleżała na szezlongu, z chudą szyją owiniętą czerwoną chustą i dłońmi splecionymi na nieco zaokrąglonym brzuchu. Pod jej nogami leżały skotłowane koce, a na szafce, ponad wątłym płomykiem świecy, parowała miska z wodą korzenną. Twarz Izeny zdawała się wymięta, dziwnie wyblakła. Majsz uświadomiła sobie, że pierwszy raz widzi Oblaskawiaczkę bez uczernionych rzęs i brwi.

– Czym mogę służyć, dostojna? – Skłoniła się głęboko.

– Słuchaniem głównie. – Izena z ciężkim westchnieniem poprawiła się na szezlongu. – Weź sobie krzesło. Tamto. Ubrania, które na nim leżą, zrzuć na ziemię. I nalej mi szalwii, jest w tamtym dzbanie.

Majsz machinalnie spełniła polecenia. Izena piła przez dłuższą chwilę, nim wreszcie zaczęła mówić:

– Wiesz, co jest warunkiem, by złotokrwisty wyzwolił się z okowów Gniewu?

– Musi zwyciężyć tyle walk, by przelana w nich własna i cudza krew ważyła tyle, ile jego ciało. Znaczący no... Iskry. Zebrane po walkach Iskry.

– W praktyce to... No, o tym może zaraz. Wiesz, ile ci brakuje do wolności?

– Niewiele...?

Izena zaśmiała się krótko.

– Pomyśl trochę, Siwa. Dla każdego złotokrwistego, który ma pierwszy raz stanąć do rytuału, przygotowywana jest skrzynia. W miarę jak Gniew się wypala, ona się wypełnia. Oczywiście nikt nie składa w niej Iskier. Te są potrzebne. Wystarczy piasek. W równej wadze do przelanej w walce krwi. Skrzynia wymierzona jest tak, by wypełniła się po brzegi, gdy złotokrwisty wypełni zobowiązanie wobec Gniewu.

Majsz kiwała monotonna głową. Słyszała o tym. Raz do roku – po pierwszej zimowej burzy – złotokrwisty miał prawo ujrzeć zawartość swojej skrzyni. Jej nigdy to nie ciekawiło.

– I teraz zastanów się – kontynuowała Izena. – Miałś jedenaście lat, gdy pierwszy raz stanęłaś na arenie. Wówczas zważono cię i mistrz ciesielski przygotował twoją skrzynię. Od tego czasu minęło przeszło sześć lat. Walczyłaś ze dwiema, jak nie więcej. Większość rytuałów rozstrzygnęła się na twoją korzyść. Zdecydowana większość. Przez ostatnie dwa lata nie poniosłaś żadnej porażki.

Majsz już nie kiwała głową. Tkwiła zeszywniała, porażona oczywistością wniosków, do których zmierzały.

– Wiesz, Siwa. To nie była najmniejsza skrzynia, jaką w życiu widziałam, ale niewiele jej brakowało. Za to ty na pewno jesteś najsukuteczniejszą złotokrwistą, jaką spotkałam. Trzymałaś kiedyś w ręku Iskrę?

Majsz przytaknęła.

– Jest ciężka, prawda? Póki złota krew płynie w waszych żyłach, jest leniwa jak żywica sosny. Zdaje się podobnie lekka. Kiedy jednak zastyga, nabiera ciężaru

uśpionego w niej Gniewu. Wiem, że ostatnio uważałaś, by nie przelewać jej zbyt wiele. Tylko że to niczego nie zmienia, Siwa. Gdybyśmy wcześniej wiedzieli, co uczynić z twoją wolnością, byłabyś już za murami Schronienia. Teraz wreszcie wiemy.

– Ja mogę tu zostać, dostojna.

Izena milczała dłuższą chwilę, patrząc Majsz w oczy.

– Nie, nie możesz – oświadczyła powoli, nadszpodziewanie łagodnie. – Ale masz jeszcze czas. Wiele w tym czasie do zrobienia i zrozumienia, ale go masz.

– Do kiedy?

– Do końca wiosny. A ta zima będzie długa. Gniew karze głodujących buntowników w Głuszach, a nas sprawdza. Rzuca wyzwanie. Jeśli mieszkańcy Lajsal chcą przetrwać do kolejnej zimy, latem będą musieli chwycić za broń. Nie będzie o to łatwo. Jesteśmy rozleniwieni, przyzwyczajeni do wygod. Ale znaki są jednoznaczne. Gniew dał nam prezent, który wystarczy właściwie wykorzystać.

– Ta złotokrwista, którą przywieźli ludzie Gulha?

– Tak. Kaldira. Strażniczka jednej z osad, potężna postać w swoim Pierścieniu.

Majsz słyszała wszystkie te określenia na naukach, ale nigdy nie zapadły jej w pamięć. Wynurzenia Izeny wybrzmiewały więc w jej uszach pustką.

– Wiosną staniecie na arenie. Ludzie zobaczą, jak marne są Głusze w zderzeniu z siłą Lajsal. Zobaczą, kto popełnił błąd i sprowadził na siebie Gniew.

– Pokonam ją i ogłosicie, że jestem wolna?

– Zabijesz ją na arenie. I będziesz wolna.

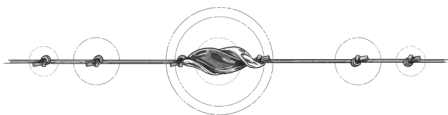
Majsz otworzyła bezwiednie usta. Kilka zdań na raz pchało jej się do gardła, tworząc gęstą masę, przez którą trudno było nabrać powietrza. Zabiła już kiedyś, lecz nieumyślnie. Nie z rozkazu. Oblaskawiacze przyzwolili, by walka trwała zbyt długo. Złotokrwisci potrafili wylizać się ze straszliwych ran, ale nie byli nieśmiertelni. Tamten chłopak, przywieziony z Bregghan, też nie był. Potem ścigało ją jego wspomnienie. Motywowało do większej dbałości o precyzję, uważnej obserwacji nie tylko przebiegu starcia, ale i stanu przeciwnika. Dlatego nie odważyła się ciąć Sępa ponownie. Był stary, słabszy niż inni, z którymi zwyciężała.

– Widzę twoją niezgodę i wiem, że spróbujesz narzucić swoje zasady. Dobrze. Czasem ze Schronień wychodzą pozbawione charakteru marionetki. Tacy nie nadają się do władzy, nie nadają się na wojnę.

– Wojnę? Dostojna...

– Za dużo na raz, Siwa. Jak powiedziałam, masz przed sobą długie, zimowe miesiące. Rytm twojej nauki się zmieni. Każdy poziom Oktawy – od kancelarii przez trybunał po wysoką radę – wyznaczył ci już nauczycieli. Zrozumiesz, dlaczego mówię o wojnie. Zrozumiesz, jak Gniew dzieli Lajsal, Głusze i Awgat. Nauczysz się swojej przyszłej roli. Tej poza areną. Wyjdiesz stąd gotowa.

„A jeśli nie?” – przemknęło Majszej przez głowę.



Złotokrwieńcy zbierali się niespiesznie w obszernej sali przesyconej kwaśnym zapachem potu, poganiani niknącym echem gongów. Fechmistrz Ilkun jak zwykle spóźniał się na popołudniowe ćwiczenia, większość więc rozsiała się po kątach, rozmawiała cicho lub przeglądała drewnianą broń, by wybrać tę, z której rękojeści sterczało najmniej drzazg. Stanowili dziwną zbieraninę. Mężczyźni i kobiety, podrostki i ludzie, których zaczynała podgryzać starość. Od mocno zbudowanych do wyniszczonych. Nie było ich nawet tuzin, a zdawało się, że można wśród nich znaleźć każdego... Poza Siwą, co Ptaszyna skonstatował z pewnym niepokojem. Zawsze przychodziła przed innymi, rozgrzewała się w skupieniu. Tym razem wpadła do pomieszczenia ostatnia, jeszcze poprawiając szarfy materiału, którymi obwiązana miała koszulę. Od razu złowiła go wzrokiem, ale nie podeszła.

Od ich kłótni minęło dobrych kilkanaście dni, ale choć posyłali sobie wspierające uśmiechy i wymieniali powitania, nie potrafili zmusić się do rozmowy. Gdy Majsza nie było obok, Wirih czuł, że chciałby to naprawić. Że to absurdalne tak się mijać, żyjąc obok siebie, razem jedząc, ćwicząc i słuchając o Gniewie. Kiedy jednak ją widział, ogarniało go coś pomiędzy zazdrością a dziecięcym wręcz rozżaleniem. Coś, do czego wstydziłby się przyznać. I to samo czuł teraz, gdy stała tych kilka kroków od niego, wyraźnie niezdecydowana, co dalej. Zwykle to on musiał zaczynać rozmowy – Siwa była lepsza w milczeniu – ale tym razem wcale nie miał ochoty. Tylko to jej spóźnienie, ruchy, które nazwałby nieuporządkowanymi, drgnięcia ust zdradzające po-

szukiwanie właściwych słów...

Już miał do niej podejść, gdy w sali huknęła głos Ilkuna:

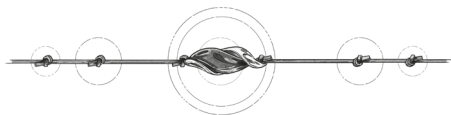
– Do szeregu!

Wirih podskoczył, wyrwany nagle z zamyślenia. Spojrzał w stronę drzwi, które właśnie przekroczył zwalisty, przygarbiony nieco mężczyzna o bujnej, posiwiałej czuprynie. Złotokrwisci sprawnie, ale z pewną obojętnością ruszyli na miejsca. Najstarszy fehmistrz Schronienia w Irdin nie zwykł wpadać w złość, nie był też chętny do wymierzania kar. Po trzydziestu latach służby, zepchnięty w cień przez szalenie utalentowanego Tasa i pracowitą, zdeterminowaną Dainę, wpadł w rutynę i stracił dawny zapał. Wirih wołał jednak nie wystawiać jego cierpliwości na próbę. Rzucił się do szeregu.

– Ty, Ptaszyna, nie. – Chrapliwy głos Ilkuna zatrzymał go w pół kroku.

– Pójdiesz do Gulha z rozkazami. I tak szkoda tu na ciebie czasu.

Złotokrwisty westchnął ciężko, ale nie protestował. Zgadzał się z ostatnim zdaniem wypowiedzianym przez fehmistrza.



Gulha uważano za jednego z najskuteczniejszych wojowników, jakich widział płaskowyz. Miał smykałkę do walki, zdolność dobierania sobie właściwych ludzi, bezwzględność potrzebną do realizacji zadań niemożliwych i wielką miłość do Irdin. Dlatego to właśnie jego wraz z zaufanymi posłano, by przywiódł z Głusz przywódczynię buntowników.

Problemem było to, że Gulh nie mógł się nudzić. Gdy świat nie walił mu się na głowę, aktywnie szukał sposobu, by to zmienić. Najczęściej na dnie dzbana. I zwykle go znajdował. Fakt, że posłano do niego złotokrwistego, a nie byle sługę, oznaczał, że władze miały dość. Siłę rozkazu miał podkreślić autorytet Gniewu. Tylko że Ptaszyna szczerze wątpił, by był owego autorytetu właściwym nośnikiem.

Przemknął pod łukiem głównej bramy Schronienia, ignorując pozdrowienie skulonego pod murem strażnika i ruszył w skos przez ośnieżoną aleję. Szybciej byłoby iść wzdłuż niej, ale wówczas musiałby minąć znieawidzoną arenę,

później zaś dzielnicę zamieszkaną przez najważniejszych dostojników Schronienia. Na żaden z tych widoków nie miał ochoty. Zamiast tego zagłębił się w labirynt wąskich uliczek lawirujących między domami drobnych rzemieślników, kupców i poślednich urzędników. W dobiegające zza zamkniętych okiennic zwyczajne życie – przekleństwa majstrów łajających uczniów, kłótnie współników obwiniających się nawzajem za straty czy podśpiewywania kucharek szykujących podwieczorek dla chlebobawców. Zza spiętrzonej pod ścianą niskiego budynku zasy, sięgającej niemalże po kopulasty dach, wystrzeliła czwórka dzieci. Ubranych za lekko jak na tę pogodę, ale zaciekle obrzucających się śniegiem. Zaraz dogonił je krzyk wyglądającej zza uchylonych drzwi babki. Wirih nie wychwycił słów, ale zrozumiał sens. Dzieciaki porzuciły śnieżki i szybko zbiegły złotokrwistemu z drogi. Najwyższy chłopiec uklonił się dyskretnie. Wirih zmusił się do słabego uśmiechu. W Schronieniu nim gardzono, ale Oblaskawiacze dbali, by prości ludzie szanowali Gniew. A więc i tych przez niego wybranych. Wszystkich bez wyjątku. Złotokrwisci, którzy wygrywali na arenie, naturalnie budzili podziw, ale i słabi, tacy jak Ptaszyna, przelewali przecież krew po to, by oszczędzić cierpienia innym. Dlatego ci, dla których siła nie była główną cnotą, a przemoc jedynym językiem, odnosili się do niego z uprzejmą rezerwą, a czasem nawet z szacunkiem i wdzięcznością. Zwykle przyjmował to z ulgą, ale tego dnia szczególnie czuł, jak bardzo na to nie zasługuje.

Był karykaturą złotokrwistego. Słabszy niż kiedykolwiek, jakby na kłótnię z Majsz zużył resztkę sił, która trzymała go przy zdrowych zmysłach. Jeśli coś takiego w ogóle w Schronieniu istniało. Myśli o wolności, która dla niego miała nigdy nie nadejść i widok przeciętnego świata, za którym tęsknił, spychały go w lepką toń wspomnień, między żale i wyrzuty sumienia.

„Gdybym wybrał inną drogę. Gdybym poszedł tę godzinę dalej, do mostu...”
Jedno poślizgnięcie. Jeden błąd, przez który powinien był zginąć. Ale Gniew postanowił darować mu życie. Wlał w jego żyły złotą krew, a potem chwycił w swoje szpony, wydarł z domu i rzucił na płaskowyż, między ludzi, którzy wcisnęli mu w rękę miecz i kazali ciąć, kogo popadnie. Miał wówczas siedemnaście lat, a wszystkie wcześniejsze spędził w karczynie matki, gotując, sprząając, jeżdżąc po towary, śpiewając i tańcząc. O bronii wiedział tyle, ile było trzeba, by czasem postraszyć zbyt rozochoconego pijaka.

I może tyle, by wsadzić ją sobie właściwym końcem w brzuch.

Zrobiłby to, gdyby nie przestrogi Haltara, który rozczytał go w jednej chwili.

– Nie próbuj, to nie tak łatwo – rzucił beczkowaty zarządca, wyjmując mu sztylet z rąk. – Złota krew cię uratuje, więc tylko się nacierpisz. Musiałbyś się powiesić, ale to też odradzam. Mamy na takich jak ty oko, zdążymy odciąć.

Wirih wtedy nie odpowiedział. Miał wrażenie, że z zewnątrz jest zupełnie sparaliżowany, w środku zaś dygocze. Został sam i chciało mu się wyć. Zdesperowany, spróbowałby pewnie tej pętli, gdyby kilka dni później, w tym samym miejscu, nie zaczęła go dziewczynka o bladej twarzy, wielkich, świetlistych oczach i włosach pokrytych siwizną. Stała naprzeciw ławki, na której siedział i wypaliła bez przywitania:

– Nie martw się, na początku też płakałam.

Chciał się zachnąć, upokorzony porównaniem do dziecka, ale wtedy przysiadła na ławce obok niego i przyciskając mu głowę do ramienia oświadczyła:

– Będziemy przyjaciółmi. Nigdy żadnego nie miałam.

Ta przyjaźń utrzymała go przy życiu przez tych długich pięć lat. Nie wyobrażał sobie siebie w Schronieniu bez Majasz. Ale jeszcze bardziej nie spodziewał się, że cokolwiek ich tak poróżni. I to coś tak drobnego...

Zatrzymał się. Przez chwilę pozwalał, by wiatr wciskał mu garście śniegu za kołnierza. Potem rzucił się biegiem przed siebie. Zaprzagnął jak najszybciej rozmówić się z Gulhem i wracać do Schronienia. Zdążyć, zanim to, co zepsuł, będzie nie do naprawienia.

Gospoda, którą upodobał sobie Gulh, służyła z tanich oraz mocnych trunków i codziennie przyciągała licznych gości – od wagabundów, tragarzy i pacholków, po rzemieślników i kupców, którzy zwykli uciekać się do niezbyt uczciwych metod konkurencji i szukali kogoś do brudnej roboty. Zazwyczaj na ulicy słychać było wypełniające ją dyskusje, pijackie śmiechy i śpiewy, tym razem jednak jedynym dźwiękiem niosącym się między domami był zgrzyt hebla, dochodzący z pobliskiego warsztatu stolarskiego. Wirih westchnął ciężko i zmusił się do przekroczenia progu.

Nisko sklepiona, obszerna izba jadalna była zatłoczona, a przy tym jakby zastygła w bezruchu. Ludzie siedzieli zbici w ciasne grupki, rozmowy toczyli półgłosem. Na podłodze zalegały resztki potrząskanych misek i dzbanów. Spod jednej z ław niepokojąco wychylały się strzępy uwalanego w winie

i krwi ubrania. Choć ślady awantury nie były świeże, jej wspomnienie wciąż trzymało gości za gardło.

Wirih dość dużo słyszał o łajdactwach Gulha, by trzymać wyobraźnię na wodzy. Wyprostowany, nie dbając o chrzęszczące pod nogami resztki, zbliżył się do usytuowanej w rogu ławy. Najemnik, czerwony na gębie, z brodą oblepioną jedzeniem, siedział rozparty w kącie. Z daleka zdawało się, że drzemie zmorzony gorzałą, ale gdy Ptaszyna zbliżył się, dostrzegł, iż mężczyzna wpatruje się tępo w sęki na stole.

– Rozkazy ze Schronienia. – Złotokrwisty położył pergamin w miejscu, na które padał wzrok Gulha.

Ten drgnął, a dwóch jego kompanów dźwignęło się na nogi. Parsknęli śmiechem, gdy dowódca leniwym ruchem przesunął list i począł wodzić palcem po studiowanym wcześniej sęku.

– Przeczytaj. Oblaskawiacze chcą usłyszeć odpowiedź.

– Dowódca jest zajęty, nie widzisz? – warknął ktoś za plecami Wirih.

– Oblaskawiaczy to nie obchodzi. Nie ślali tu złotokrwistego, żeby słuchał wymówek.

Gulh po raz pierwszy przeniósł na niego spojrzenie. Oczy miał przekrwione i dziwnie wylupiaсте. Twarz, którą Ptaszyna pamiętała jako zniszczoną, ale wyrazistą, była obrzmiała i upstrzona purpurowymi wykwitami. Te ostatnie dni odpoczynku musiały być dla najemnika bardziej niszczące niż cała eskapada w Głusze i to wzbudziło w Wirihu szczyptę litości. Złotokrwisty sięgnął po pergamin.

– Nie chcesz czytać, niech będzie. Wysłuchasz.

Potężna dłoń zamknęła mu się wokół nadgarstka. Druga chwyciła za warkocz czarnych włosów. Wirih szarpnął się w tył, ale Gulh był silniejszy. Przyciągnął go blisko siebie.

– Komuś tu trzeba gębę zatkać – zabełkotał.

Próbował wstać, ale się zakołysał, rozluźniając przy tym chwyt. Ptaszyna wyrwał się. Chciał uciekać, ale gęstniejąca grupka najemników odcięła mu drogę. Czyjeś ręce pochwytyły go za ramiona, spracowane dłonie zacisnęły się na karku. Gulh odzyskał równowagę, złapał list, odpieczętował go i splunął na zawartość.

– Chciałeś odpowiedzi? Proszę. Dawać go tu, chłopczy!

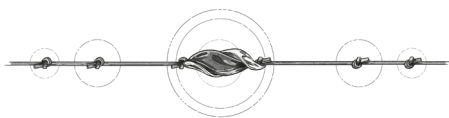
Wirih próbował się wyrwać, ale oni bez trudu rzucili go plecami na ławę i przydusili. Gulh zmiął pergamin i wcisnął go do ust złotokrwistemu. Bełkotał coś przy tym, ale słowa ginęły w rechocie jego towarzyszy. Ptaszyna krztusił się, charczał, szamotał. Przerażony miał wrażenie, że zaraz się udusi. Przed oczami przemykały mu kolejne roześmiane twarze. Najemnicy, goście, ośmieleni dobrym nastrojem Gulha posługacze... Ktoś strzaskał kufel obok jego głowy. Ostre odłamki wgrzyzły się w policzek.

– Gulh, dość, bo udusisz pokrakę! – wrzasnął nagle właściciel wyszynku.

Gapie rozpierzchli się, rozbawienie zastąpił niepokój. Za śmierć złotokrwistego odpowiedzialiby wszyscy. Dowódca warknął coś, nachylił się raz jeszcze nad Wirihem, wpił palce w jego włosy i uderzył potylicą o ławę. Wreszcie puścił i odszedł o krok. Jego ludzie też odstępili, przypadkowi goście, nagle otrzeźwiali, chyłkiem wymykali się z izby. Ptaszyna sturlał się na podłogę, wyrwał pergamin z ust i zwymiotował gwałtownie. Chciał wstać, ale najemnik oparł mu ostrzegawczo rękę na karku.

– Chciałeś czytać, to czytaj – burknął. – Przecie nie będę takiego obślinionego macał. Czytaj! No już!

Wirih rozwinął powoli pergamin. Drżącym głosem wyrecytował rozkazy.



POZNAJ CAŁĄ HISTORIĘ ZŁOTOKRWISTYCH!



Zamów w przedsprzedaży
www.pulpbooks.pl/sklep